

Jerzy Sokółski

Rozmowa z panem Jerzym Sokółskim, przeprowadzona we wsi Zacisze
9.04.1989 rok.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Moi rodzice byli rolnikami, mieszkali na Zaciszu. Ojciec był
sołtysem.

Przyszli zabrać nas 10 lutego 1940 roku, gdzieś koło trzeciej
w nocy. Ktoś zaczął stukać w drzwi, ojciec wstał i otworzył.
Człowiek ten, nie wiem, Rosjanin czy jeden z naszych, powiedział
żeby ojciec ciepło się ubierał, że pójdziem do sąsiada robić
rewizję. Matka spytała, czy będą sąsiada zabierać. On powie-
dział, że będą wszystkich zabierać, że dzisiaj będzie u nas
płacz i lament. Ojciec poszedł z nim i jak wszystkich już po-
zabierali to przyszedł do domu się spać. Ruscy wzięli na-
szego konia, sprowadzili jeszcze jednego, założyli do san i
powiedzieli "Jedziemy!". Matka w domu szykowała się, a za nią
chodził taki jeden i zabierał noży, żeby coś sobie nie zrobi-
ła. Pozwolili brać jedzenie i trochę ubrań na drogę. Na dom
i wszystko mówili, że to już nie nasze, że "gosudarskie". Jak
wieźli nas saniami, to wszędzie cicho było, smutno, tylko psy
jedne wly. Puste budynki u nas, u sąsiadów. Szesnaście nas
było rodzin w wiosce, to wszystkich zabrali. Ruskim pomagali
Kuryłowicze z Kamionki, znajome ludzi. Dla ojca mówili, żeby
brać palta, dzieci odziewała. A ci konwoiści gadali, że "zawtra
przyjedziem". Posadowili się z karabinami na każde sanie i
pilnowali nas. Nikt nie uciekał. Ojciec Józefa Walendziuka
był w Białymstoku i sam na stację przyjechał, bo dzieci szko-
dował. Mój ojciec mówił, że sam by uciekł. Ale rodzinę zostaw-
wić? Zawieźli nas na stację do Żedni. Tam wszystkich zagruży-
wali do wagonów. W wagonach byli porobione pryczy, po trzy do
góry. Ludzi ładowali swoje rzeczy pod spód. Pryczy byli po

dwóch stronach, a po środku zrobiony korytarz. W wagonie był piecyk i dziura na ubikację, zakretowane okno. Wagonów dużo nie było, trzy, może cztery. Później, po drodze na Białystok i dalej to doczepiali, że był już cały szalony, ze dwadzieścia wagonów. Do granicy musi wcale nie dawali jeść. Jak pić się chciało, to ja ściągał przez kraty śnieg z dachu. Jak dojechali do granicy, to tylko deski położyli z wagonu na wagon i po tym moście przepędzili do ruskiego pociągu. Wagony były takie same. Po drodze, jak pociąg stawał, to wypuszczali ludzi z wiadrami po wodę, czy jakieś tam pochłopkę. W naszym wagonie nikt nie umarł. Pociąg jechał ze trzy tygodnie. Zawili nas tak, że dalej nie było już kolei, tylko sosny dookoła było widać. To była stacja Kwitek. Stamtąd rozwozili ludzi samochodami i saniami. Mieli papiery i wyczytywali gdzie kto idzie. Nas powieźli do Toporka. Tam kiedyś mieszkali zakluczone. Cały pasiołek był drutem ogrodzony i wiecy stojali. Później to wszystko pozdynali. Nas dali pod NKWD. Włocy nie można było wyjść, bo nas pilnowali z psami. Powybierali też trochę naszych mężczyzn, dochodzenie robili. Potem ich zabrali i jak my tam przez te lata byli, to oni nie wrócili.

W baraku mieszkało chyba 30 rodzin. Przez środek był korytarz, po bokach takie klatki i dziury, jakby drzwi porobione. W środku byli pryczy. Tych dziur nie można było zawiesić nawet firankami, wszystko było widać. Przez całą noc chodzili po korytarzu i pilnowali nas. Ojciec zrobił drzwi, to kazali jemu zdjąć. Ale poprosił komendanta i ten pozwolił zostawić. W baraku była jedna kuchnia. Pełno było pluskwów, tarakanów, różnego hadztwa, tak, że my wytrzymać nie mogli. Ludzie wnosili pretensji i później przesiedlili nas i zrobili tam dezynfekcję. Trochę to pomogło. W pasiołku była też kąnia.

Ludzie pracowali w lesie i w tartaku. Wozili drzewo koniami, maszynami. Za pracę płacili i trochę jedzenia dawali ze stółki. Tak, żeby człowiek niepodjedzony był. Jak była większa rodzina to dodawali kartofli, kaszę. To trzeba było za pieniądze wykupić. Nas było czworo i nam tego nie dawali. Jedzenia nie wystarczało. Latem ludzie chodzili do lasu po jagody i grzyby. Jedli wszystko: korzenie, cebulki kwiatów.

Była tam jakaś opieka lekarska. Na Kwitku był niby szpital. Ojciec tam leżał, jak zachorował na dezynterię. Ludzie tam mocno chorowali. Umierali i młode, i stare.

W Toporku my byli tylko przez lato. Stamtąd wywieźli nas na pół roku na Dolne Udaczno, a później na Górne. ~~Żak~~ Jak my wyjeżdżali z Toporka, to tam znowu robili druty, bramę i wieże. Z powrotem tam więźniów gнали. Bo jak nas mieli przywieść to ich do lasu wygnali, pod gołe niebo. Kiedy my, małe dzieci, lataли, to więźniowie-kobiety krzyczeli. "Rebiata rostitie, rostitie. Sowiecko własť pobijetie i nas oswoboditie." Ja sam to słyszał, bo przy nas Sowieci z psami tych więźniów gnali. Przez cały czas ojciec chodził do pracy do tartaku na Kwitek. Matka nie pracowała. Jak kto pracował dostawał 400 gram chleba, jak nie to tylko 200. Starsze, co mogli pracować i nie pracowali, na przykład gospodynie, to dostawali chyba po 150 gram, a może jeszcze mniej. Przez cały czas mieszkaliśmy w takich samych barakach. Tylko, że na Górnej Udacznej w baraku były trzy piecyki. Na środku i po brzegach. W baraku mieszkało chyba ze 30 rodzin.

Na początku władze pilnowali nas ostro. Na Toporku więźni mieli taki ogród gdzie sadzili warzywa. Moja matka i inne kobiety poszły, żeby im pomóc kopać kartofli. Na drugi dzień ich kierownik zadzwonił do naszego komendanta, że jak on pilnuje

ludzi. To on popisał jakie ludzi tam byli i dał dla tego kierownika. Wtedy on przyjechał i do aresztu na 5 dni tych ludzi posadził, za te kartofli. Później na Udacznej już tak nas nie pilnowali.

Z Udacznej przenieśli nas znowu na Toporek. Stamtąd trochę ludzi poszło do wojska Andersa. Na Toporku zaczęli nam dawać sowieckie dowody. Kto przyjął ich poddaństwo, to mógł po Rosji pojechać. Ludzie przyjmowali to, bo wtedy mieli wolności trochę. Mogli jechać gdzie zaplanowali.

Z Toporka wyjechali my na Kwitek i zapisali się na wyjazd dalej, aż pod Irkuck do miejscowości Charyk. Wyjechali my pociągiem osobowym, a węzełki jakie mieli oddali na bagaż. W Charyku ojciec pracował w zakładach mechanicznych, przy traktorach. Później robił też w lesie. Pierwszo było tam żyć lepiej, ale potem pogorszyło się. Mieszkało tam trochę Polaków. Z Zaczisza był z nami Walendziuk. Pamiętam, że byli tam też Grycuk i Szemiec z Michałowa.

Tam jak kto umiał kombinować, to żył. Ludzie zbierali grzyby, jagody, kłoski. Kłosów nie wolno było zbierać. Jak złapali, to zabierali i kazali więcej nie przychodzić. Starszych zapisywali i podawali dla kierownika, że taki człowiek nie pracuje, a zbiera kłoski i z tego żyje. Wtedy kazali iść do roboty. Na Charyku zaczął nam trochę pomagać Czerwony Krzyż. Zapomogi ludziom przydzielali, dawali dary. Ja jeździłem z ojcem po te dary do Kujtuna. Ojciec rozdzyłał je dalej u nas.

Mieszkali my tam w baraku mniejszym niż wcześniej. Była tam szkoła, ale ja nie chciałem do niej chodzić, bo zima nie było w czym, było zimno. Ojciec z matką wyganiali, ale ja mówiłem, że do ruskiej szkoły nie będę chodził. Nie chciało się. Polskiej szkoły tam nie było.

Sowieci chcieli, żeby człowiek pracował i nie myślał o jedzeniu. Pracujący mógł wykupić 400 gram chleba, niepracujący 200. Była jeszcze stółówka, tylko dla pracujących. Jak kto zgubił kartki, to był głodny. Ja raz zgubił i my byli cały miesiąc bez chleba. Ojciec powiedział, że bez chleba nie będzie pracował i nie poszedł do roboty. On nie chciał wyjść. Mówił: "Ja głodny i dzieci głodne. Dajcie mnie jeść." Kartek nie wydali, a ojca podali do sądu. Ten sąd odłożyli raz i drugi i jakoś ojca nie osadzili. Udało się. Ojciec zwolnił się z roboty i my z tego miejsca wyjechali 7 kilometrów dalej, na Lestwiankę. Ojciec pracował tam w firmie mlecznej, matka na ogrodach. Ja chodził jej pomagać. Później ojciec pilnował koni. Nauczył mnie robić przy nich.

W tej wiosce mieszkało tylko kilka rodzin Polaków. Reszta to byli Rosjanie, zasiedzieli już tam. Na Lestwiance mieszkali my już w wioskowym domu. Nas tam cztery rodzin mieszkało.

U jednych z nich, Ruskich, zmarło dwóch młodszych ode mnie chłopców. Ja później też zachorowałem i mało nie umarłem. Nie było tam w co się odziać. Matka uszyła dla mnie spodni z worka. W sklepie nie było nic, tylko pajka chleba. Dopiero później, jak my już odjeżdżali, do sklepu zaczęli wozić wódkę w beczkach. A tak, czasem tylko na nowy rok dzieciom było po ciastku czy cukierku. Z jedzeniem było tam niezabardzo. Dali nam później kawałek działki przy domu, to mogli my sobie sadzić kartofli i kapustę. Chleba dawali tyle samo co wszędzie.

Później, kiedy w Sielcach uformowało się wojsko, to brali wszystkich na komisję do Kujtuna. Jeździli tam ojciec i matka. Kto zdalny był, musiał iść do wojska. Ojca zabrali, ale długo tam nie był, tylko trzy miesiące. Zanim poszli na front poderwał się gdzieś, dostał przepuklinę i musiał na operację iść. Wró-

cił do nas na Lestwiankę. Jak ojca nie było to matka pracowała, a my zbierali jagody i grzyby. W tej wiosce mieszkali my do końca, aż nas wywieźli do Polski. W Lestwiance była cerkiew, ale zrobili w niej przedszkole. Jak my już mieli odjeżdżać, to chodzili ruskie kobiety i podpisywali, żeby te cerkiew otworzyć. My też to podpisali. W ten ostatni rok ja chodził tam do ruskiej szkoły.

W Kujtunie była polska placówka i tam zapisywali się ludzie, którzy chcieli wrócić do Polski. Mój ojciec podpisywał wszystkich Polaków, którzy byli z nami i zawiązał tą listę do Kujtuna. To było już w 1946 roku. Kiedy my wyjeżdżali z Lestwianki, kierownik dał nam furmanki, żeby dojechać na zborny punkt do Kujtuna. Siedzieli my tam chyba dwa tygodnie. Byli tam Polacy z całej okolicy. Podstawili nam cztery wagony towarowe, a jak my jechali to co raz doczepiali więcej. Najwięcej w Tajszecie. Na drogę dali nam jakieś jedzenie, głodne my nie byli. Ja miał ubranie z worka, mocno porwane. Zobaczył to ruski żołnierz i dał żołdackie spodnie, żeby ja choć odział się. Na polskiej granicy przyszli cztery ruskie żołdacy i zabierali wszystkie papiery z Rosji. Szukali po łachach, wszędzie robili rewizję, żeby nic nie przewieźć.

W Polsce porozczepiali transport. Z tego szalonu tylko 4 wagony poszło na Białystok. W Białymstoku spotkali my babkę. Rodzina zabrała nas z wagonu i my pojechali do babki, do Rogowa. Później wrócili do Zacisza. Tu nic nie było. Nasz dom stał, ale w środku to były pustki. Niektórzy ludzie też już powracali. Władze nie odnosili się do nas dobrze. Mówili, że mają biedniejszych niż my. Ojciec ledwo dostał pół metra pszenicy pod zasiew. W szkole innym dawali herbatę, margarynę. Nam nie, bo my za bogate byli. Pomóc, nikt nie pomógł.